

84(4.11.01)
253

LEEM

EDEN



W obliczeniach był błąd. Nie przeszli nad atmosferą, ale zderzyli się z nią. Statek wbijał się w powietrze z grzmotem, od którego puchły bębunki. Rozplaszczeni na legowiskach czuli dobijanie amortyzatorów, przednie ekrany zaszły płomieniem i zgasły, poduszka rozżarzonych gazów, napierająca na dziób, zatopiała zewnętrzne obiektywy, hamowanie było niedostateczne i opóźnione. Sterownię nappełnił swąd rozgrzanej gumy, pod prasą deceleracji ślepli i głuchli, to był koniec, ale nawet tego nie mógł żaden pomyśleć, nie starczyło wszystkich sił, aby unieść klatkę piersiową, wciągnąć oddech, robiły to za nich do ostatka pracujące tlenopulsatory, wtlaczały w nich powietrze jak w pękające balony. Nagle grzmot ucichł.

Zapaliły się awaryjne światła, po sześć z każdej strony, ludzie wili się, nad tablicą napędu czerwieniał sygnał alarmu, była pęknięta i zgnieciona w harmonię, kawały izolacji, okruszy pleksiglasu z szelestem przesuwwały się po podłodze, nie grzmiało, wszystko obejmował głuchy, rosnący gwizd.

— Co się... — wychrypiał Doktor, wypluwając gumowy ustnik.

— Leżeć! — przestrzegł go Koordynator, który patrzył w ostatni nie uszkodzony ekran.

Hakieta przekoziółkowała, jakby uderzył w nią talar, spowijające ich nylonowe siatki zagrały jak struny, przez chwilę ważyło się wszystko jak u szczytu.

huśtawki zawisłej do góry nogami, potem zadudniło.

Mięśnie, stężałe w oczekiwaniu ostatniego ciosu, obmiękły. Rakieta, stojąc na pionowym słupie wylotowego ognia, powoli schodziła w dół, dysze dudniły uspokajająco, trwało to kilka minut, potem przez ściany poszedł dreszcz. Wibracja stawiała się coraz mocniejsza, łożyskowe zawieszenia turbin musiały się rozchwiać, popatrzyli na siebie. Nikt nic nie mówił. Wiedzieli, że wszystko zależy od tego, czy wirniki nie zatrą się, czy wytrzymają.

Cała sterownia zadygotała nagle, jakby z zewnątrz kuł w nią z szaloną szybkością stalowy młot. Gruba, wypukła soczewka ostatniego ekranu w mgnieniu oka pokryła się gęstą pajęczyną pęknięć, jego fosforyczna tarcza zgasła, w padającym z dołu mdłym blasku lamp awaryjnych widzieli własne powiększone cienie na pochyłych ścianach, dudnienie przeszło w ciągły ryk, pod nimi coś chrobotało, łamało się, rozszczepiało z żelaznym wizgotem; kadłub, wstrząsany potwornymi targnięciami, leciał, leciał, oślepiony, martwy; skurczyli się, wstrzymali dech, zupełna ciemność, chaos, ciała ich wystrzeliły nagle na całą długość nylonowych lin, nie dosięgły potrzaskanych tablic, o które by się rozpruły, zawisły skosem, wahając się wolno jak ciężkie wahadła...

Rakieta przewaliła się jak padająca góra, łoskot ten był daleki i tępy, wyrzucone bryły gruntu, słabo stukając, osunęły się po zewnętrznym pancerzu.

Wszystko znieruchomiało. Pod nimi syczały przewody, coś bulgotało przeraźliwie, szybko, wciąż szybciej, szum uchodzącej wody, przemieszany z przenikliwym, powtarzającym się sykiem, jak gdyby jakaś ciecz kapiała na rozpalone blachy.

— Żyjemy — powiedział Chemik. Powiedział to w zupełnej ciemności. Nie widział nic. Wisiał w swoim nylonowym pokrowcu jak w worku, zaczepionym z czterech stron linami. Znaczyło to, że rakieta leży na boku. Gdyby stała, posłanie byłoby pozio-

me. Coś trzasnęło. Błady, benzynowy płomyk starej zapalniczki Doktora.

— Załoga? — spytał Koordynator. Jedna lina jego worka pękła, wirował wolno, bezradny, i usiłował bezskutecznie chwycić się czegoś wystającego ze ściany, wyciągając rękę przez oko nylonowej siatki.

— Pierwszy — powiedział Inżynier.

— Drugi — odezwał się Fizyk.

— Trzeci — głos Chemika.

— Czwarty — powiedział Cybernetyk. Trzymał się za czoło.

— Piąty — zakończył Doktor.

— Wszyscy. Gratuluje — głos Koordynatora był spokojny. — Automaty?

Odpowiedziała cisza.

— Automaty!!

Milczenie. Zapalniczka poczęła parzyć palce Doktora. Zgasił ją. Znowu zapadła ciemność.

— Zawsze mówiłem, że jesteśmy z lepszego materiału — powiedział po ciemku Doktor.

— Czy ktoś z was ma nóż?

— Ja mam. Przeciąć liny?

— Jeżeli możesz wyleźć bez przecinania, to lepiej. Ja nie mogę.

— Spróbuję.

Dał się słyszeć odgłos szamotania, przyspieszony oddech, coś stuknęło, rozległo się zgrzytnięcie szkła.

— Jestem na dole. To znaczy — na ścianie — powiedział Chemik. Głos jego dobiegł z dna ciemności. — Doktorze, poświeć na chwilę, to wam pomogę.

— Ale spiesz się. Benzyna się kończy.

Zapalniczka znowu zabłysła. Chemik krzątał się przy kokonie Koordynatora, mógł dosięgnąć tylko jego nóg. Wreszcie udało mu się odciągnąć częściowo boczny zamek błyskawiczny i Koordynator spadł ciężko na nogi. We dwóch pracowali szybciej. Po chwili wszyscy stali już na skośnie przechylonej, obitej półelastyczną masą ścianie sterowni.

— Od czego zaczniemy? — spytał Doktor. Zaciśnął brzegi rany na czole Cybernetyka i nałożył na nią plaster. Miał go w kieszeni. Zawsze nosił przy sobie niepotrzebne rzeczy.

— Od stwierdzenia, czy uda się wyjść — odparł Koordynator. — Najpierw musimy mieć światło. Co tam? Już? Doktorze, poświeć mi tu, może jest prąd w końcówkach tablicy, przynajmniej w rozrządzie sygnalizacji alarmowej.

Tym razem zapalniczka wykrzesła tylko iskrę. Doktor pocierał kamyk, aż starł sobie skórę z palca, błyskając tuż nad szczątkami pogruchotanej płyty, w której grzebali, klęcząc, Koordynator z Inżynierem.

— Jest? — spytał Chemik, stojąc z tyłu, bo nie było już dla niego miejsca.

— Na razie nic. Nikt nie ma zapalek?

— Ostatni raz widziałem zapaliki trzy lata temu. W muzeum — oświadczył niewyraźnie Inżynier, bo usiłował zębami oderwać izolację z końca przewodu. Naraz mała niebieska iskra oświeciła złożone w muszlę ręce Koordynatora.

— Jest — powiedział. — Teraz jakąś żarówkę.

Znaleźli nie uszkodzoną w sygnale alarmowym nad boczną tablicą. Ostry elektryczny ognek oświecił sterownię, jakby część wznoszącej się skosem rury tunelowej o stożkowych ścianach. Wysoko nad nimi, w tym, co było teraz stropem, widniały zamknięte drzwi.

— Ponad siedem metrów — powiedział melancholijnie Chemik. — Jak my się tam dostaniemy?

— Widziałem kiedyś w cyrku żywą kolumnę — pięciu ludzi, jeden na drugim — zauważył Doktor.

— To dla nas za trudne. Dostaniemy się tam po podłodze — odparł Koordynator. Wziął od Chemika nóż i zaczął robić szerokie nacięcia w gąbczastej powłoce podłogi.

— Stopnie?

— Tak.

— Dlaczego nie słyhać Cybernetyka? — zdziwił się naraz Inżynier. Siedząc na szczątkach potrzaskanej tablicy rozrządczej, przykładał woltomierz do wyciągniętych na zewnątrz kabli.

— Owdowiał — odrzekł z uśmiechem Doktor. — Czym jest Cybernetyk bez automatów?

— Jeszcze je nakręcę — rzucił Cybernetyk. Zaglądał w otwory wybitych ekranów. Elektryczny ognek powoli żółkł — stawał się coraz ciemniejszy i bledszy.

— Akumulatory też? — mruknął Fizyk.

Inżynier wstał.

— Tak wygląda.

Po kwadransie w głąb, a raczej w górę statku ruszyła sześćoosobowa ekspedycja. Najpierw dostała się do korytarza, a z niego — do poszczególnych pomieszczeń. W kajucie Doktora znaleźli ślepa lartkę. Doktor lubił mieć mnóstwo zbędnych na co dzień rzeczy. Zabrali ją. Wszędzie zastali zniszczenia. Umieblowanie, przymocowane do podłóg, nie rozbiło się, ale z przyrządów, narzędzi, pomocniczych wehikułów, zapasów utworzyła się jakaś nieprawdopodobna kasza, w której brodziło się wyżej kolan.

— A teraz spróbujemy wyjść — oświadczył Koordynator, kiedy na powrót znaleźli się w korytarzu.

— A skafandry?

— Są w komorze ciśnień. Nic im się nie powinno było stać. Ale skafandry nie są potrzebne, Eden ma znośną atmosferę.

— Czy tu w ogóle ktoś kiedyś był?

— Tak, dziesięć albo jedenaście lat temu sonda kosmiczna z patrolu poszukiwań, wtedy jak zaginął Altair ze swoim statkiem. Pamiętacie?

— Ale z ludzi nikt?

— Nie, nikt.

Kłapa wewnętrzna śluzy znajdowała się skośnie ponad ich głowami. Dziwne pierwsze wrażenie, spowodowane tym, że po znanych pomieszczeniach szło

się w całkiem nowej konfiguracji — ściany były teraz podłogami, a stropy ścianami — powoli mijało.

— Tu rzeczywiście nie obejdzie się bez żywej drabiny — orzekł Koordynator. Oświecił dokładnie klapę latarką Doktora. Plama światła obeszyła ją dookoła. Klapa przylegała hermetycznie.

— Wygląda nieźle — powiedział Cybernetyk. Stał z zadartą głową.

— Owszem — zgodził się Inżynier. Pomyślał, że potworna siła, która sprasowała nośne dźwigary tak, że prysła wpasowana między nie główna tablica rozrządcza, mogła zaklinować także klapę, ale zachował tę myśl dla siebie. Koordynator rzucił okiem na Cybernetyka i już chciał mu powiedzieć, żeby pochylił grzbiet i ustawił się pod ścianą, gdy przypomniał sobie poskręcane żelastwo, które ujrzeli w pomieszczeniu automatów, i poprosił Chemika:

— Stań w rozkroku, ręce na kolana, tak będzie ci lepiej.

— Moim marzeniem było występować w cyrku. Zawsze! — zapewnił go Chemik i pochylił się. Koordynator postawił mu stopę na ramieniu, wspiął się, uniósł i przywierając do ściany, czubkami palców dosięgnął maczugowato zgrubiałej u końca, nikłowej dźwigni.

Pociągnął, potem szarpnął, nareszcie zawisł na niej. Wtedy poddała się z chrzęstem, jakby zamkowy mechanizm pełen był miążkiego szkła. Zrobiła ćwierć obrotu i stanęła.

— Czy ciągniesz w dobrą stronę? — spytał Doktor, który świecił z dołu latarką. — Rakieta leży.

— Uwzględniłem to.

— Nie możesz już mocniej?

Koordynator nie odpowiedział. Wisiał na płask przy ścianie, uczepony jedną ręką dźwigni. Powoli próbował dołączyć drugą rękę. Było to bardzo trudne, ale w końcu mu się udało. Wisząc teraz jak na trapezie, podkurczył nogi, aby nie kopnąć skulonego

pod nim Chemika, i targnął kilka razy, unosząc się na ramionach i opuszczając, całym ciężarem ciała, aż stęknął, uderzając z rozmachem torsem o ścianę.

Za trzecim czy czwartym razem dźwignia poddała się trochę. Brakowało jeszcze z pięć centymetrów do końca jej drogi. Koordynator zebrał siły i raz jeszcze rzucił sobą w dół.

Dźwignia z piekielnym zgrzytnięciem stuknęła w zapadkę. Rygiel wewnętrzny był odsunięty.

— Poszło jak po maśle — cieszył się Fizyk.

Inżynier milczał. Wiedział swoje. Zabrali się teraz do otwierania klapy, co było zadaniem trudniejszym. Inżynier spróbował uruchomić ją naciskając rękojeść hydraulicznego urządzenia, ale wiedział z góry, że nic z tego nie będzie. Rury popękały w wielu miejscach i cały płyn wyciekł. Ręczna korba zaświeciła nad nimi swoim kółkiem jak aureola, kiedy Doktor skierował latarkę do góry. Jak na ich możliwości gimnastyczne było za wysoko — ponad cztery metry.

Zaczął się znoszenie ze wszystkich pomieszczeń połamanych aparatów, poduszek, książek — szczególnie przydatna okazała się biblioteka, a w niej atlasy gwiazdowe nieba, bardzo wielkie i grube.

Budowali z nich piramidę, jak z cegieł. Wzniesienie dwumetrowego stosu zabrało niemal godzinę. Raz część obsunęła się i odtąd zaczęli pracować systematycznie — pod komendą Inżyniera.

— Praca fizyczna to jednak okropność! — dyszał Doktor. Latarka tkwiła wciśnięta w szczelinę klimatyzatora i oświetlała im drogę, gdy biegli do biblioteki i wracali, objuczeni książkami.

— Nigdy nie wyobrażałem sobie, że tak prymitywne warunki mogą panować w podróżach do gwiazd — sapał Doktor. On jeden jeszcze mówił. Na koniec Koordynator, podtrzymywany przez towarzyszy, wlaź ostrożnie na wzniesioną piramidę i dotknął palcami korby.

Конец ознакомительного фрагмента

Уважаемый читатель!

Размещение полного текста данного произведения
невозможно в связи с ограничениями по IV части ГК
РФ

Эту книгу вы можете прочитать
в Оренбургской областной универсальной
научной библиотеке им. Н.К. Крупской
по адресу: г. Оренбург,
ул. Советская 20 тел.: для справок: (3532) 61-60-30